

Poreferendalne polowanie na czarownice

8 września 2015

Tuż po referendum rozpoczęło się szukanie winnych „porażki demokracji” – dramatycznie niskiej frekwencji. Charakterystyczne jest to, że najgłośniejszą nad „frekwencyjną klapą” krzyczą ci, którzy wcześniej usilnie nad nią pracowali, propagując bojkot referendum.

Kukiz niczego tutaj nie przegrał. Choć od samego początku ideę tego referendum oceniałem negatywnie, tym niemniej to nie do Komorowskiego jedynie należy kierować pretensje o „stracone 100 mln”, lecz także i do tych, którzy pracowali na rzecz bojkotu.

Przypomnijmy, że według sondażu przeprowadzonego przez TNS Polska dla „Wiadomości” TVP1 w czerwcu 2015[1] aż 76% badanych zapowiedziało udział w referendum, z czego 45% badanych zapowiedziało udział „zdecydowanie”, zaś 31% – „raczej”. Za JOW opowiadało się wówczas 60% badanych.

Później zaś przyszły wakacje oraz kampania anty. Kładła ona nacisk nie na głos negatywny, lecz na bojkot referendum. Tuż przed referendum było tak mało informacji o nim, że nawet ci, którzy planowali udział, zapominali, że to już w tę niedzielę. Skromna informacja medialna dodatkowo utonęła w emocjach wokół uchodźców.

Oczywiście referendum było ogłoszone kunktatorsko, pod wybory prezydenckie. Tyle że po jego ogłoszeniu spora część Polaków nastawiona była doń pozytywnie. Dopiero późniejsza kampania – milczenia oraz zniechęcania – wypracowały taką a nie inną frekwencję.

Nie twierdzę, że porażka referendum to coś strasznego – bez względu na to czy popieramy JOW-y czy też nie.

W moim tekście o sukcesie Kukiza z 12 maja[2] pisałem, że „Kukiz nie może oddać tej inicjatywy gwardianom systemu, gdyż byłaby to prosta recepta na unicestwienie ruchu”. Kukiz błędnie uznał, że „system się pogubił” i ogłosił referendum w sprawie, której nie chce przeforsować. System tymczasem w niczym się nie pogubił, bo wiedział, że referendum zostało tak skrojone, że nie było „groźby”, że się uda.

Ogłaszanie referendum w sprawie JOW na początku społecznej debaty o zmianie ordynacji, kiedy dla społeczeństwa było to jedynie nośne hasło, nie mogło się udać, o ile nie odbyłaby się ogromna debata publiczna. Czy można było wierzyć, że coś takiego będzie miało miejsce przed wrześniem?

Tak jak można było się spodziewać, zrobiono natomiast wiele, by podważyć sens referendum. Najpierw posłowie uchwalili trzecie pytanie referendalne, które popierano najszerzej. Następnie eksponowano bezsens drugiego pytania, które jakby złośliwie zostało sformułowane tak, by nic nie znaczyło – przynajmniej na gruncie logiki języka prawnego, gdyż wola społeczna jest raczej oczywista.

W efekcie nawet zwolennicy Kukiza mogli mieć poważne wątpliwości, co do sensu udziału w tak skrojonym referendum, gdyż nawet jeśli się popiera ideę JOW, można mieć wątpliwości, czy nie powinno się wcześniej przedyskutować różnych modeli systemu większościowego i głosować dopiero nad konkretnym efektem tej debaty (sam Kukiz podkreślał walory systemu australijskiego) tudzież kwestia konstytucyjności pytania. Czy nie należałoby najpierw zmienić konstytucji? Moim zdaniem pytanie nie było niekonstytucyjne, lecz w istocie można było mieć takie wątpliwości.

Paradoksalnie najuczciwiej w tej sprawie zachowywali się liderzy PiS, którzy choć jawnie sprzeciwiali się idei wprowadzenia JOW, to przynajmniej mówili o potrzebie udziału w tym akcie obywatelskim. Racjonalnie bowiem nikt nie mógł się łudzić, że referendum w takim kształcie będzie miało wymaganą

frekwencję. Przeciwnicy JOW-ów nie mieli więc powodów obawiać się, że niechciane JOW-y przejdą. Można natomiast było bronić spokojnie udziału, by wzmacniać ideę demokracji bezpośredniej. Widać jednak obawy przed JOW-ami są równie silne jak wobec idei referendum. Co by to było, gdybyśmy ludziom pozwolili się samo rządzić!

Andrzej Duda miał możliwość ratowania referendum o JOW, gdyby zaraz po swym zaprzysiężeniu zawniioskował połączenie referendum w sprawie trzech dodatkowych pytań z referendum 6 września. Proceduralnie dałoby się to przeprowadzić, lecz zwyciężyły obiekcje polityczne. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak skrojone referendum mogłoby przekroczyć próg frekwencyjny. Tyle że w ten sposób PiS doprowadziłby do przeforsowania niepopieranej przez siebie idei JOW. Trudno więc oczekiwać od partii, by realizowała postulaty, których nie popiera.

Nawet popierający ideę systemu większościowego mają powody, by nie spieszyć się z ich referendalnym przeforsowaniem już teraz.

Nie ma bowiem znaczenia jakie hasła i postulaty się przeforsuje, lecz rzecz w tym, by wdrażały je osoby, które je realnie popierają. Jeśli zwolennicy JOW chcą systemu większościowego, najpierw powinni wejść do Sejmu, by móc realizować swoje hasła. Gdyby to przeciwnicy JOW-ów lub ich pseudozwolennicy, którzy mimo deklaratywnego poparcia nie zrobili nic w tym kierunku przez całe lata mieli teraz wprowadzać JOWy pod presją społeczną, to już lepiej niech zostanie tak jak jest. System większościowy można bowiem skroić sensownie, ale i przez drobne szczegóły można go zepsuć – na tysiąc sposobów. Diabeł zawsze tkwi w szczegółach, a nie w ogółach.

Osobiście sędzę, że przed ewentualną zmianą systemu na większościowy należałoby w ramach obecnego dokonać możliwie dużego oczyszczenia stajni Augiasza, by nie okazało się, że

odda się władzę strukturom półkryminalnym. Bałbym się w obecnym stanie rzeczy wprowadzania systemu JOW.

Oczywiście mainstream medialny koncentruje się na tym, by pokazać wynik referendum jako porażkę Kukiza, co jest zupełnym nonsensem. Przy zmasowanej kampanii anty, przy mataczeniu organizacyjnym i braku realnej debaty społecznej wokół tematu – oczekiwanie innego wyniku to oczekiwanie cudu. Przypomnijmy, że nawet w referendum akcesyjnym, przy gigantycznej promocji i niedopuszczaniu do mainstreamu poważnej polemiki z odpowiedziami na tak – udział wzięło jedynie 58,85% uprawnionych, wśród których na tak było jedynie 77,45% głosujących. JOW-y, przy wielkiej kampanii anty, przy emitowaniu znanych osób, które tuż przed wyborami zniechęcały do udziału i idei, poparło 78,75% głosujących.

Dla Kukiza wynik może być dość optymistyczny, gdyż w świetle kampanii medialnej, może on frekwencję w referendum traktować jako swój sondaż poparcia. A w tym świetle liczby wyglądają zupełnie inaczej niż się je przedstawia.

7,8% frekwencja z 78,75% głosów za JOW-ami, oznacza, że główną ideę Kukiza poparło 1,88 mln Polaków. Jeśli przełożymy to na wynik parlamentarny oznacza to, że główny elektorat antysystemowy się umocnił, gdyż w 2011 Ruch Palikota otrzymał jedynie 1,44 mln głosów, czyli 10%, co przełożyło się na 40 mandatów. Wynik referendum ws. JOW-ów może więc oznaczać kilkunastoprocentowe poparcie parlamentarne.

Sądzę, że jest to bardzo dużo, gdyż nie ulega dla mnie wątpliwości, że spora część wyborców Kukiza nie przywiązuje do kwestii JOW większego znaczenia.

Jeśli natomiast chodzi o znaczenie polityczno-prawne referendum, należy podkreślić, że brak 50% frekwencji nie oznacza, że jest ono nieważne (jak zapewne będą mówić niezorientowani w prawie komentatorzy). Oznacza to jedynie, że wynik nie jest obligatoryjny dla parlamentu. Referendum jest

natomiast ważne, tylko jego wynik ma charakter opiniodawczych konsultacji społecznych. Tak uczono mnie przed laty na prawie konstytucyjnym.

Dla urealnienia demokracji życzyłbym sobie tego, by system szedł w kierunku likwidowania fikcyjnych instytucji ustrojowych, które są jedynie ozdobnikami, paraliżowanymi praktyką. W okresie transformacji taki dekoratywno-fikcyjny charakter – ze szkodą dla społeczeństwa – miał akcjonariat pracowniczy. System niby formalnie wspierał uwłaszczanie pracowników na majątku pokomunistycznym, w praktyce robił wszystko, by tę własność paraliżować. Tak samo jest z referendum.

W polskiej myśli politycznej dziewiętnastego wieku urodziła się myśl, że społeczeństwo nie oznacza wszystkich mieszkańców, lecz tylko tych, którzy biorą udział w aktach obywatelskich, tych, którzy mają poczucie odpowiedzialności społecznej, tych którzy rozumują w kategoriach ogólnych. Ci, którzy nie interesują się sprawami ogólnymi, a jedynie własnym interesem, nie są częścią społeczeństwa, lecz są oczywiście częścią populacji kraju. Było to rozwinięcie idei antycznej Grecji, która rozróżniała między obywatelami a idiotami (*idiotēs*), czyli osobami zajmującymi się jedynie własnymi sprawami.

Późniejsze demokracje dla urealniania swoich instytucji poszły w kierunku wymuszania udziału w aktach obywatelskich, co przybierało formę karania za brak udziału w wyborach. Do dziś funkcjonuje to w kilku zachodnich systemach (np. w Australii). Jestem temu przeciwny. Moglibyśmy natomiast nawiązać do rodzimej myśli politycznej, poprzez uznanie, że nie można nikogo zmuszać do bycia obywatelem. Każdy ma prawo ignorować akty obywatelskie, lecz jego ignorancja nie powinna jednak blokować demokracji. Społeczeństwem demokratycznym są ci jedynie, którzy biorą udział w aktach publicznych. Nieobecni racji nie mają. Nie istnieją zatem żadne progi frekwencyjne. O kształcie państwa powinni decydować ci, którym się chce. A komu się nie chce – może mieć pretensje jedynie do siebie.

Gdyby znieść bariery frekwencyjne naraz by się okazało, że frekwencja głosowań coraz mocniej skacze do góry, gdyż wszyscy mieliby interes, by namawiać do udziału swoich wyborców. Naraz zniknęłaby postawa kunktatorskiego, taktycznego paraliżowania instytucji demokratycznych.

Autorstwo: Mariusz Agnosiewicz

Źródło: Racjonalista.pl

PRZYPISY

[1]

<http://www.tvp.info/20447770/sondaz-dla-wiadomosci-tvp1-polacy-zaglosowaliby-we-wrzesniowym-referendum-za-jowami>

[2] <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9849>